

PACHAMAMA

Anna Ostapkowicz



Podróż przez Amerykę Południową

Redakcja: Joanna Mieczkowska
Skład: Elżbieta Staniszevska
Okładka i projekt graficzny: Elżbieta Staniszevska
Przygotowanie zdjęć: Karol Bagiński
Zdjęcia: Anna Ostapkowicz

Wydawnictwo HELION
Ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
Tel: +48 32 2309863
e-mail: redakcja@bezdroza.pl
Księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

ISBN: 978-83-7853-375-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

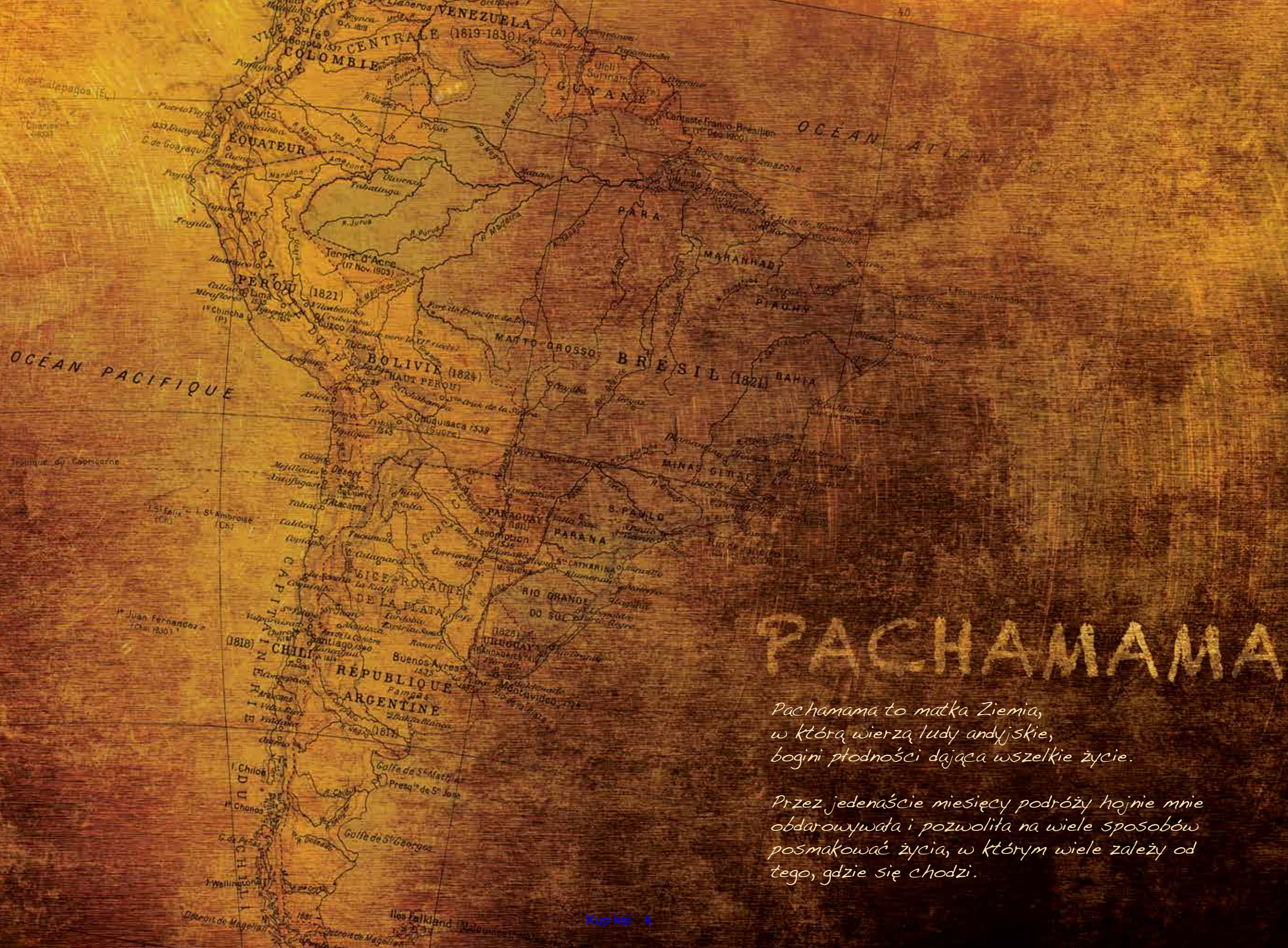
Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor ani Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w tej książce.

Copyright©Anna Ostapkowicz 2013



Spis treści

1. Wstęp.....	1
2. Wenezuela.....	2
3. Kolumbia.....	16
4. Ekwador.....	28
5. Peru.....	48
6. Boliwia.....	104
7. Chile.....	160
8. Gwatemala.....	170



PACHAMAMA

*Pachamama to matka Ziemia,
w którą wierzą ludy andyjskie,
bogini płodności dająca wszelkie życie.*

*Przez jedenaście miesięcy podróży hojnie mnie
obdarowywała i pozwoliła na wiele sposobów
posmakować życia, w którym wiele zależy od
tego, gdzie się chodzi.*



WENEZUELA





Mieszkańcy wioski nad Rio Cuaro



📷

Jak na razie cała i zdrowa. Już na lotnisku było wesoło... Żeby przejść przez granicę, musiałam czekać półtorej godziny. Uformowała się dodatkowa kolejka i prawie doszło do zamieszek, ludzie krzyczeli i byli bliscy rozwiązań siłowych. Urzędnik się obraził i odmówił dalszego wykonywania obowiązków. Tak więc odpadła jedna osoba obsługująca petentów, a ogonek jeszcze bardziej się wydłużył. Pan w informacji turystycznej objaśniał mi, jak bezpiecznie wymienić pieniądze na czarnym rynku. Faktycznie, Caracas miejscami wygląda na groźne i jest drogie. Nie chciałam kusić losu i spędziłam tam tylko jedną noc. To miasto rośnie na stokach gór. Kobiety codziennie chodzą do fryzjera i dbają o paznokcie. Wspaniale pachną i noszą obfity makijaż, co w tym upale wzbudza szacunek. Z figury nie przypominają jednak miss (co tłumaczyłoby ilość wykonywanych tutaj operacji plastycznych). Popularnym prezentem rodziców dla szesnastoletniej córki jest zabieg poprawiający niedociągnięcia natury. Na ulicy sztuczne biusty rzucają się w oczy, bo zaprzeczają jakimkolwiek proporcjom. Kierowcy jeżdżą jak szaleni, na drogach pełno trzydziestoletnich amerykańskich samochodów. Autobusy dalekobieżne są superluksusowe – klimatyzacja i lotnicze siedzenia to standard, a przejazdy tanie. Benzyna kosztuje mniej niż pitna woda.

Z głośnego miasta trafiłam od razu do raju, więc nie wiem, co będę robić dalej. Spływałam rzeką Rio Cuaro przez pięć dni, dookoła była tylko dżungla, góry i czasami wioski Indian. Oczywiście nie da się opisać, jak pięknie tam było – natura w najczystszej postaci. Bardzo dużo wodospadów, ptaków, kwiatów, pajaków, rzecznych delfinów i anakonda – sztuk jeden. Z owadami nie było tak źle, myślę, że u nas lata więcej komarów. Niewiarygodnie gorąco (40°C) i wilgotno.

Płynięcie nocą po rzece bez żadnych świateł, w kompletnej ciemności, było niezapomnianym przeżyciem. Spotkaliśmy poszukiwaczy złota. Niesamowite, że wciąż są ludzie opętani tą gorączką.

Indianie nie ganiają wprawdzie na golasa, lubią amerykańskie koszulki, ale co mnie cieszy, zachowali swój styl życia. Niestety, wciąż molestują ich misjonarze. Indianie są bardzo nieśmiali i nie lubią, kiedy robi im się zdjęcia. A propos robienia zdjęć. Żeby się zabezpieczyć, wzięłam dwa aparaty: cyfrowy – na karty i analogowy – na filmy. Już pierwszego dnia na łodzi szampon wylał mi się do plecaka, mimo że był w plastikowej torebce. Zamoczył karty do aparatu cyfrowego i baterie do analogowego, które na dodatek wyciekły. Zostałam więc z dwoma aparatami, tyle że jednego nie mogłam używać bez baterii, a drugiego z powodu braku kart. Na jedynej ocalałej karcie zostało mi tylko trzydzieści zdjęć. No cóż... nie da się przewidzieć wszystkiego. Teraz jadę do Roraimy (płaskie góry blisko granicy z Brazylią), by dalej cieszyć się przyrodą.

📷



Roraima zdobyta!!! 40°C na dole i zimno na samej górze. Te różnice temperatur dały w kość. Przez sześć dni wspinałam się, żeby zobaczyć coś naprawdę wyjątkowego. U podnóża góry jest sawanna, płaska równina po horyzont poprzecinana strumieniami, na zboczach gęsta dżungla z wodospadami. Góra jest płaska jak stół i przez większość czasu znajduje się w chmurach. Widok na szczycie (którego nie ma) to coś zupełnie nie z tej ziemi. Czarne „księżycowe skały” z mnóstwem niebieskich oczek wodnych, a w nich kwiaty i rośliny, które rosną tylko tutaj. Ma się wrażenie cofnięcia do prehistorii, brakuje tylko dinozaurów. Między czarnymi, bogato rzeźbionymi skałami zdarzają się ścieżki z różowego piasku i białe krzemienne plaże. Cisza i mgła, która pojawia się i znika, dopełniają atmosfery. Było warto się pomęczyć.

Dzisiaj jest niedziela i dla odmiany rekonwalescencja. Znalazłam się w małym miasteczku Tucupita przy Delcie Orinoco, skąd chciałam zacząć dalszą podróż. Ponieważ nie jest to sezon, mam przyjemność być jedyną turystką w miasteczku, co wzbudza niepotrzebnie zainteresowanie. Słyszałam czy czytałam fajne stwierdzenie – że Europejczycy są zabijani przez czas, a Latynosi zabijają czas. I potwierdzam, że głównie tym się „zajmują”.

Wenezuelczycy wstydzą się nie wiedzieć, więc na zadawane pytanie o drogę odpowiadają cokolwiek. Z czasem nauczyłam się, że w odpowiedziach może być trochę prawdy, ale zawsze są podejrzane. Nieraz wyprowadziły mnie w pole.



Roraima

Trochę czasu minęło, bowiem aż cztery dni spędziłam w Tucupita na szukaniu przewodnika. I kiedy już myślałam, że wrócę z niczym, spotkałam na ulicy polską parę. Dała mi kontakt do lokalnego przewodnika i wreszcie się udało (mogłam zrobić to przez agencję, ale byłoby trzy razy drożej, poza tym z założenia unikam pośredników, bo nieuczciwie dzielą zapłatę – niewiele zostawiają tubylcom). Popłynęłam na trzy dni z dwójką Greków deltą Orinoco. Na początku rzeka jest ogromnie rozległa i na brzegach są rancha. Właśnie na takim spaliśmy. Rano było, kaczkę, konie tak hałasowały, że nie dało się spać. Im bardziej w głąb, tym więcej i zamiast glinianych domów pojawiają się chaty Warao zbudowane z liści. Propaganda Chaveza dotarła nawet tutaj, więc w wioskach widzi się plakaty i plastikowe zbiorniki na wodę – dar od wodza. Wódz jest omnibusem i lubi przemawiać. Codziennie w radio można przez godzinę słuchać jego mowy na każdy temat, podaje wytyczne dotyczące kultury, sportu, oświaty itp. Cóż...

Najbardziej podobało mi się pływanie czółnem po małych kanałach Orinoco. Dżungla zamyka się nad tobą, wokół dużo kwiatów i ptaków. Indianie są tak bardzo nieśmiali, że za każdym razem jak przyplwaliśmy do wioski czułam się jak intruz. Nie miałam serca robić zdjęć, bo myślą, że w ten sposób kradnie się im dusze. W nocy szu-



Tragarz toalety



Orinoco



kaliśmy kajmanów. W bajorku pływało kilka małych, ale głównie widzieliśmy oczy. Miejscowi chłopcy wskakiwali do wody, żeby złapać je na ręce. Co zabawne, byli tym bardziej podekscytowani niż my i mocniej im zależało.

Potem wróciłam do Ciudad Bolivar i straciłam trzy dni na wyjaśnianie sprawy z pieniędzmi. Chciałam znaleźć jakiś sposób na zdobycie dolarów w gotówce. Po oficjalnym kursie za jednego dolara można dostać 1,8 bs, a na czarnym rynku już 5,5, więc jest prawie trzykrotne przebicie. Wyjmowanie pieniędzy z bankomatu to finansowe samobójstwo, więc turyści podejmują desperackie próby zdobycia „zielonych”. Niektórzy w tym celu lecą na Arubę, jeszcze inni przekraczają granicę z Brazylią. Niestety, limit dzienny w bankomatach jest tak sprytnie ustawiony, że jednorazowo nie za bardzo można się obłowić. Nie wiem o co chodzi, ale stanie w kolejkach w bankach to chyba tamtejszy sport narodowy. Przeważnie w bankomatach nie ma pieniędzy, więc ludzie tkwią w ogonkach bez końca, żeby tylko dostać kwitek. Poznałam przez przypadek przemiłych ludzi, którzy pomogli mi z bankami, zaprosili mnie do siebie do domu i pokazali okolicę. Jako przedstawiciele inteligencji ubolewali nad polityką Chaveza. Uważają jego działania za równanie w dół.

Nie udało mi się nic wskórać z dolarami, więc niestety musiałam zmienić plany. Zdecydowałam, że wyjeżdżam do Kolumbii. Teraz odwiedzam ostatnie miejsca w Wenezueli – jestem w Merida w Andach. Miasteczko śliczne, uniwersyteckie. W całym kraju na przydrożnych kamieniach i stokach widnieje „tak” poparcia dla Chaveza, tylko w Meridzie ostentacyjne „nie”.

Chciałabym pójść w góry na Pico Bolivar. Wciąż jednak powraca ten sam problem – musi być co najmniej trzech chętnych, a nie ma turystów. Jeśli grupa się nie ueziera, będę musiała zapłacić za wszystkich nieobecnych. Wenezuelczycy się nie targują, wolą wcale nie zarobić, niż spuścić z ceny. Przypomina mi to polską komunistyczną logikę.



Pożegnałam Wenezuelę czterodniowym wyjazdem do Los Llanos (wyobraźcie sobie, że nikt nie chciał iść w góry). Myślałam, że jest tam płasko, a wokół tylko trawa i bydło, ale grubo się myliłam. Przestrzeń otwarta po horyzont, rzeki pełne kajmanów, piranii i różowych delfinów. Stada kapibar i mnóstwo ptaków tworzą białe, różowe i czerwone plamy na tle soczystej zieleni. Dopisało towarzystwo: Estończycy ze strażakiem z Toronto, nie zabrakło oczywiście Niemca. Zapewniono nam sporo atrakcji. Pierwszego dnia rafting po górskiej rzece, drugiego jazda konno – galop przy stadzie pędzącego bydła. Znowu sływ



rzeką, tym razem niziną, z krokodylami i różowymi delfinami. Na koniec safari na dachu jeepa, tylko zamiast żyraf, słoni i lwów kajmany, kapibara i *highlight* wyjazdu – anakondy. Jak się o tym pomyśli, wydaje się trochę głupie, że płaci się za to, że pięciu facetów brodzi w bagnie po kolana i wyciąga sześciometrowego, ciężkiego stwora, żeby nas ucieszyć. Ale było fajnie.

Ostatniej nocy niewiarygodna burza z piorunami, które oświetlały całe niebo tak mocno, że było jasno jak w dzień, a do tego bardzo głośno.



Anakonda z Los Llanos

W Los Llanos mieszkają ludzie trochę na kształt gauchos, to dość dziwne społeczno-ści. Szefem wioski jest zawsze kobieta, co bardzo mi się podoba. Tamtejsze mieszkanki rodzą dzieci od czternastego roku życia – im więcej, tym lepiej, bo dziecko jest wartością samą w sobie (to już mniej mi się podoba). Tatusiowie nie są tak istotni, pojawiają się i znikają do następnych wiosek, żeby robić kolejne. Widzi się mamusie z ósemką pociech i każde inne. Życie płynie bardzo leniwie i kręci się wokół bydła. Zdarzają się wioski ze stadem dziesięciu tysięcy krów.



KOLUMBIA



Ciudad Perdida

Po niezwykle pięknej, acz bardzo turystycznej Cartagenie znalazłam się na plaży Playa Blanca. Dotarłam tam na łodzi i spędziłam noc w hamaku. Niestety, zażyłam za dużo słońca. Potem wyjechałam do Taganga – małej wioski rybackiej przy Parku Tayrona. Jest ona opanowana przez Żydów, 80% plażowiczów to Izraelici (nawet menu w niektórych barach jest po hebrajsku). Ja z kolei spałam w Casa de Felipe, gdzie ściągali wszyscy Francuzi. Niestety, nie znalazłam żadnego reprezentanta Polski. Z tego miejsca wyruszyłam do Ciudad Perdida, tzw. Zagubionego Miasta.

Miasto naprawdę znajduje się w bardzo niedostępnej okolicy w górach, wokół tylko dżungla. Już pierwszego dnia mieliśmy przygodę. Do naszego obozowiska przyszedł chłop (*campesino*) i zaproponował wizytę w „fabryce kokainy” (sprzedawał bilety jak do kina). Namiot znajdował się w gęstych zaroślach. Tam jak nauczyciel na lekcjach chemii zaprezentował nam cały proces od początku do końca. Teraz żołnierze zrobili porządek z plantacjami koki i jest ciężko z produkcją, wcześniej całe wioski były przy tym zatrudnione. Nasz przewodnik zaczął pracę w wieku dziesięciu lat. Żeby wyprodukować 1 kg czystej kokainy, trzeba zebrać 100 kg liści koki. Potrzebne są również benzyna, sól i wapno w ogromnych ilościach. Wyprodukowanie 1 kg narkotyku zajmuje pięciu osobom aż dziesięć dni. Dostają za to 4000\$, z tym że składniki kosztują 2000. Wieśniacy są na tyle mądrzy, że żaden z nich nawet nie spróbuje kokainy. Poza tym kiedy człowiek patrzy, jak to się robi, to mu się odechciewa.



Czysta kokaina

Na szlaku mijaliśmy lud Tayrona. To Indianie, którzy są półnomadami i co piętnaście dni przenoszą się z wioski do wioski. W osadzie kobiety z córkami żyją oddzielnie od mężczyzn z synami. Szaman mieszka poza wioską i jest jej reprezentantem. Kobiety mają jego odpowiednik, kogoś w rodzaju „dobrej czarownicy”. Wszystkie decyzje są podejmowane wspólnie na zgromadzeniach. W wiosce znajduje się „więzienie” dla tych, co zdradzają swoich małżonków. Mężczyźni noszą długie włosy i wąsy, kobiety trzymają dzieci w torbach zawieszonych na głowie. Wszyscy ubrani są w białe szaty i mają małe kolorowe torebki. Mężczyźni czasami noszą kapelusze w kształcie odwróconego kielicha, też białe. Żonaci żują liście koki i mają specjalne naczynie z wapnem (katalizatorem), którego części oznaczają składnik męski i żeński. Wszystkie zasiewy i plony uzależnione są od faz księżyca. Większość tych ludzi nie wie, ile ma lat, bo żyją bez znanego nam kalendarza. Są nieśmiali, poważni i bardzo dumni. Swoje wędrówki tłumaczą obrotem Ziemi. Skoro planeta się porusza, oni też powinni. W wędrówkach towarzyszą im świnie prowadzone na sznurkach.

Na szlaku było niezwykle gorąco i wilgotno, człowiek cały czas był zlany potem, dokuczwały też komary. Te nieprzyjemności były rekompensowane przez piękne widoki i pływanie w górskich rzekach. Ostatniego dnia przed dotarciem do Zagubionego Miasta przekraczaliśmy rzekę w bród aż dziewięć razy. Przez trzy dni mieliśmy burze, lało – po prostu ściana deszczu. Nie stanowiło to większego problemu, bo wciąż było bardzo ciepło. Pierwszy raz wędrowałam po górach w kostiumie kąpielowym i w klapkach. Niebezpieczny był natomiast wiatr, który jak znajdował drogę przez dżunglę, potrafił być bardzo silny i przewracał drzewa. Jeden z kolegów z grupy nie zdążył się schować i dostał porządnie gałęzią.

Mieliśmy też problem z koleżanką z Kolumbii – wciąż paliła marihuanę. W pewnym momencie zaścabiła i nie mogła oddychać. Myśleliśmy, że zejdzie. Pech chciał, że zdarzyło się to na ostatnim odcinku szlaku, gdzie nie ma przejścia dla mułów. Nasz przewodnik i kilku lokalnych musieli ją nieść na barana, co nie było łatwe na mokrych skałach. Do miasta prowadzą niezliczone stopnie kamiennych schodów, potem widzi się tarasy i łatwo można sobie wyobrazić, gdzie stały domy. Miejsca zgromadzeń i kultu są wciąż świetnie zachowane. Miasto leży w górach, otoczone ze wszystkich stron wspianą dżunglą i wodospadami. W XII w. mieszkało tam ok. 2300 rodzin, potem jednak przyszli kolonizatorzy z chorobami, gruźlicą i syfilisem, pogwałcili kobiety i pozarządzili Indian. Kiedy szamani





Lud Tayrona

zaczęli wymierać, ludzie postanowili opuścić to miejsce jako przeklęte.

Dzisiaj jest tam sporo mundurowych. To zarówno regularna armia, jak i paramilitarni. Wojskowi są dobrzy, paramilitarni – źli. Każda agencja płaci haracz oddziałom paramilitarnym za bezpieczeństwo turystów. Właśnie kiedy byliśmy w Zagubionym Mieście, wybuchł jakiś konflikt i jakby było mało wrażeń, przyszedł „parażołnierz”, żeby nastraszyć naszego przewodnika i poinformować go, że w mieście zabito innego. Po powrocie do cywilizacji zastaliśmy tę wiadomość we wszystkich lokalnych gazetach. Paramilitarni są jak mafia, która niestety ma powiązania z politykami. Są niebezpieczni, każdy w mieście wie, kto jest z oddziału i kogo unikać. Dobre jest to, że zarówno żołnierze, jak i paramilitarni dbają o turystów, paramilitarni – bo żyją z nich, żołnierze – bo muszą.

W czasie podróży często spotyka się tych samych ludzi. Na Playa Blanca poznałam dwóch Australijczyków i Nowozelandczyka, potem spotkaliśmy się na trekkingu w Ciudad Perdida. Tam poznałam Angielkę i Niemca, którzy zdecydowali, że pojedą ze mną do Parku Tayrona, gdzie na nurkowaniu znowu spotkałam się z Australijczykami. Tak więc o towarzystwo nie jest trudno.

O Parku Tayrona i nurkowaniu następnym razem. Teraz jestem w Bogocie i zwiedzam dla odmiany muzea.

PPPP



Z Zagubionego Miasta pojechałam do Parku Tayrona. Umówiliśmy się z właścicielem łodzi, że nas zabierze. Po półtorej godziny czekania poinformowali nas, że niestety nie popłyniemy, bo policja wodna ściga przewoźników (transport łodzią jest nielegalny). Wzięliśmy więc, mocno wkurzeni, taksówkę. Kierowca był kompletnie nieprzygotowany do drogi. Najpierw musieliśmy pojechać napompować opony, potem poprosił nas o pieniądze na benzynę, bo właśnie się skończyła, musieliśmy więc zahaczyć o stację. Podróż, która w normalnych warunkach trwa półtorej godziny, nam zajęła cztery. Za to park to wzgórza porośnięte dżunglą, schodzące do krystalicznie czystego morza. Między skałami znajdują się zatoki z pięknymi piaszczystymi plażami, ocienionymi przez palmy. Szlak prowadzi od plaży do plaży. Miejsce jest bajeczne. Śpi się w hamakach w chatce na szczycie wzgórza. Wiatr od morza porusza takim postaniem i czujesz się jak w kołysce. Choć plażowanie nie jest moja mocną stroną, z przyjemnością spędziłam tam trzy dni na zupełnym nicnierobieniu. Niektórzy zalegają tutaj miesiącami.

Powrót też dostarczył nam wrażeń. Mała łódź motorowa surfowała na dwumetrowych falach. Oczywiście odbiło się to na naszych tyłkach. Następnego dnia wybrałam się na nurkowanie. Pierwszy raz, mimo że próbowałam zejść pięć razy, za bardzo bolały mnie uszy i musiałam zrezygnować; po godzinie odpoczynku spróbowałam jeszcze raz. O dziwo, bez żadnego problemu udało mi się zejść na 18 m. Byłam przeszczęśliwa, bo już





Bogota

myślałam, że ta przyjemność jest nie dla mnie. Rafa nie była tak wspaniała jak w Australii, ale miejscami kształtem przypominała podwodne drzewa, których nigdzie wcześniej nie widziałam.

Nie bez żalu pożegnałam wybrzeże i po dwudziestu godzinach w autobusie, otoczona chrapiącymi mężczyznami, dotarłam do Bogoty.

Stolica jest dziwna, ale da się lubić. Mieszanka bogactwa i potwornej biedy, wieżowców i starych kolonialnych domów. Nigdy nie widziałam tylu sklepów, w których szyje się ubrania na zamówienie. Wiele ciekawych graffiti i fajnie wyglądających młodych ludzi oraz eleganckie starsze osoby. Bardzo pomysłowe kafejki i restauracje, ale wieczorami lepiej nie wychodzić z hostelu. Bezdomni są bardzo agresywni zebrząc o pieniądze. Poznałam w hostelu Amerykankę armeńskiego pochodzenia. Razem zwiedzałyśmy miasto. Muzeum złota jest jednym z najlepszych, jakie w życiu widziałam. Prezentuje wyroby Indian z całej Ameryki Południowej. Muzeum z pracami Botero też nie rozczarowało.

Wjechałyśmy również na szczyt góry, żeby zobaczyć całe miasto z lotu ptaka. Przytrafiła nam się dziwna przygoda. W kolejce dwóch gości, wyglądających jak mafioso i bodyguard, zaczęło z nami rozmawiać. Jeden miał twarz przeciętą blizną i pochodził z USA, jego kolumbijski kolega był olbrzymem z brylantyną na włosach i wielgachnym złotym łańcuchem. Powiedzieli, że podróżują w interesach. Pomimo wyglądu byli przemili i na koniec rozmowy wcisnęli nam pieniądze – 20 000 pesos. Powiedzieli, że to na taxi. Nie chcieliśmy przyjąć, ale nie udało się zwrócić. Wzięłyśmy więc taksówkę obwieszoną krzyżkami i Matkami Boskimi. Kierowca, o dziwo, zaproponował włączenie taksometru, co rzadko się zdarza i wróży ucziwą cenę. Stało się jednak inaczej. Nie dość, że zażądał trzy razy tyle co normalnie, to sprytnie podmienił właśnie mu wręczony dwudziestotysięczny banknot na dwutysięczny. Kiedy zaczęłyśmy się kłócić, stał się agresywny i bezczelnie domagał się dopłaty. Widząc, że nie ma szans na oddanie forsy, wysiadłyśmy. Taksówkarz zaczął wrzeszczeć, ale szybko odjechał. Było to bardzo nieprzyjemne i przedziwne, że te same pieniądze, które właśnie otrzymałyśmy, zaraz straciłyśmy. Dostałyśmy nauczkę, że wygląd może zwieść.

Jutro opuszczam Bogotę i jadę w góry Los Nevados, tym razem ośnieżone.

Manizales okazało się studenckim miastem z młodymi ludźmi przesiadującymi w knajpach. Znalazłam się tam z powodu Parku Narodowego Los Nevados. Na jego terenie znajdują się wulkany, czarne góry ze szczytami pokrytymi śniegiem, u podnóży wyjątkowa roślinność – skartowaciałe palmy endemiczne dla tego regionu. Między wulkanami zdarzają się błękitne jeziora. Region jest wciąż aktywny. Marzyły mi się co najmniej trzy dni w górach. Okazało się, że kosztowałyby to fortunę. Wszystko zostało tak pomyślane, żeby pojedynczy turyści nie kręcili się po parku. Nie ma tam transportu, żeby wejść na jakikolwiek wulkan, a nawet zobaczyć jezioro w dolinie, trzeba wynająć przewodnika. Ceny za kamping, przewóz, wejścia są tak skalkulowane, że samotnie zwiedzającemu po prostu się to nie opłaca. Głupi bilet wstępu kosztuje 30\$. Jedyną alternatywą była wycieczka i to jednodniowa. Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Po parku jeżdżą busy z odwiedzającymi i w ramach wycieczki można wejść na szczyt wulkanu Ruiz. Tym wielce turystycznym sposobem zaliczyłam 5120m. Na górze padał śnieg i każdy ruch był jak w zwolnionym tempie. Widoki wspaniałe, bardzo księżycowe. Po tym wysiłku zabrano nas do termalnych źródeł i z rozkoszą zanurzyłam się w czterdziestostopniowej wodzie, podczas gdy na dworze było zimno i padał deszcz.



Park Narodowy Los Nevados



Posąg z San Augustin



Hostel La Casa de François

Pożegnałam Manizales i wyruszyłam do San Augustin. Podróż trwała jedyne osiemnaście godzin, a końcowy odcinek trasy był jak z koszmaru. Na ogół autobusy, szczególnie nocne, są superkomfortowe, nowiutkie, z klimatyzacją i lotniczymi siedzeniami, ale tym razem pojazd był mały i rozgruchotany. Telepał się po wybojach, o oparciu głowy nie miałam co marzyć – tak trzęsło, że myślałam, że mi odpadnie. Autobus nie dość, że mały to na dodatek kompletnie wypchany. W wąskim korytarzu przez siedem godzin stały osoby z bagażem. Jeden *senior* trzymał kury i tylko czułam jak się załatwiają. Mimo spartańskich warunków oczywiście w autobusie nie zabrakło telewizora i raczono nas filmem akcji z jednocześnie na full włączoną muzyką. Film zatrzymywał się na wybojach, ale kierowca nie dawał za wygraną i uparcie przewijał taśmę. Widziałam to „dzieło” chyba ze trzy razy.

Przyjechałam do San Augustin, żeby pooglądać posągi. Miejsce, w którym się zatrzymałam, było takie ładne... Hostelem okazała się chata zbudowana z bambusa, ze ścianami z gliny i kolorowych butelek. Kiedy słońce prześwitywało przez szkło kreując refleksy, efekt był bardzo artystyczny. Francuski właściciel z żoną Kolumbijką sami piekli chleb i serwowali mleko prosto od krowy. Czas spędzało się głównie w hamaku patrząc na góry, w otoczeniu psów, kotów, koni i kur. Gdyby ludzie z hostelu nie zmotywowali mnie, pewnie nigdzie bym się nie wybrała. Łało prawie każdego dnia, miałam więc sensowną wymówkę. Prawie wszyscy tutaj jeżdżą konno, więc i park zwiedza się w siodle. Jest to bardzo przyjemny sposób podróżowania, ale po pięciu godzinach spędzonych na koniu ma się chód iście kowbojski.

Na podwórkach chłopów porozstawiane są posągi, małe i duże, największy ma 7m, każdy inny, za to wszystkie kolorowe. Zdumiewające jest, że kolor przetrwał jakieś dwa i pół tysiąca lat. Te posągi należą do zupełnie nieznannej kultury. Wiadomo tylko, że uświetniały groby ważnych osobistości ze wspólnoty. Przedstawiają raczej ludzi, zarówno kobiety jak i mężczyzn, przy czym poszczególne postacie mają oczy, zęby i nogi np. orła, tygrysa, węża czy nietoperza. Bardzo mi się podobały, ale po zobaczeniu pierw-

szych dwudziestu byłam usatysfakcjonowana. Okolicę uświetniały też drugi co do wielkości wodospad w Ameryce Południowej i rwista rzeka Magdalena. Zbliżyłam się już do granicy z Ekwadorem. Ostatni postój w Popayán. Miasteczko całe białe, jedynie z brązowymi balkonami, okiennicami i czerwonymi dachówkami.

Włosy w kolorze blond bardzo się tutaj podobają. Każdy nieznajomy zawsze pyta o to samo: ile mam lat, dlaczego podróżuję sama i czy chciałbym mieć dzieci z Kolumbijczykiem. Jeden z przewodników zaproponował mi, żebym była jego trzecią narzeczoną (*novia*). Objął mi otwarcie wszechobecnie panujący system. Żona jest świadoma, że mąż ma kochanki, ale udaje, że nic się nie dzieje, bo musiałaby honorowo zareagować, a jak nie wie, to wszystko jest w porządku. Liczba narzeczonych świadczy o wartości mężczyzny. Dwie to minimum, jak się ma pieniądze może być i siedem. Wydatki związane są z wyjściami na romantyczne kolacje, kupowaniem ciuchów i perfum. Statystyki ludowe mówią, że tylko jeden na tysiąc tak nie postępuje. Podobno żony robią tak samo. Pytałam podróżujących płci męskiej, który kraj najbardziej im się podoba w Ameryce Południowej i zawsze była to Kolumbia. Biali mężczyźni, niecieszący się w swoich krajach większym powodzeniem, tutaj robią furorę, dziewczyny są przemiłe i przejmują inicjatywę. Słońce, plaża budują klimat. Dla facetów to fajna przygoda, a młode Kolumbijki w swej naiwności liczą na miłość życia i snują wspólne plany na przyszłość. Cudzoziemki również mają swoje pięć minut. Maria jest córką Anglika i Kolumbijki. Tata zmył się po wakacjach do domu i tyle było go widać. Sama Maria ma syna z obcokrajowcem, który nawet o tym nie wie, bo wyjechał w dalszą podróż. Teraz znowu obiecuje sobie wiele po nowym francuskim chłopaku, który będzie tutaj jedynie dwa tygodnie. Trochę ręce opadają.





EKWADOR



Targ w Otavalo



Ekwador przywitał mnie kolorowym targiem w Otavalo. Ludzie zjechali się z okolic w wypełnionych po brzegi autobusach i ciężarówkach, odziani w ludowe stroje (bynajmniej nie z powodu turystów – tutaj większość mieszkańców chodzi tak ubrana). Panie miały kapelusze lub poskładane w specjalny sposób chusty na głowach, haftowane białe bluzki, plisowane spódnice i buty zrobione na szydełku, na szyi złote korale, na plecach tobołek z dzieckiem lub pakunkiem, włosy związane wzorzystą szarfą. Po rodzaju nakrycia głowy i spódnicy można było się zorientować, z jakiej są wioski. Panowie w białych spodniach, poncho i kapeluszu z pawim piórkem, spod którego wystawał warkoczyk. Handlowano głównie kurczakami, królikami i tutejszym przysmakiem – świnkami morskimi. Po udanych zakupach zabawa do białego rana i picie do upadłego. W Kolumbii ludzie wierzą, że zabieram im duszę robiąc zdjęcie, tutaj myślą, że rzucam na nich zły czar.

W czasie podróży spotykam bardzo ciekawych ludzi. Jeden z nich to Steve. Zwiedził wszystkie kraje świata oprócz Libii i Grenlandii. Zajął mu to, sumując wszystkie wyjazdy, przeszło dziesięć lat. Teraz zaczyna drugą rundę. Wybrałam się z nim w góry, by podziwiać różnokolorowe laguny i odpocząć od gwaru targowiska.

Tym razem nikogo nie spotkaliśmy. W Ekwadorze udało mi się spełnić dwa marzenia: jedno to wizyta na wyspach Galapagos, drugie – wspinaczka na wulkan Cotopaxi.



Obsługa lotniska w Galapagos przywitała nas w białych rękawiczkach i w maskach – obawiano się świńskiej grypy. W ramach prewencji spryskano nam ręce spirytusem, co według mnie nie jest wystarczająco skutecznym sposobem zapobiegania zakażeniom. Zaczęło się nie najlepiej. Wraz z Lią, koleżanką pochodzącą z Indonezji, spóźniłyśmy się

na łódź płynącą na Isla Isabella, odbijającą od brzegu tylko raz dziennie o 14. Zamiast tego zaproponowano nam towarową łajbę o 17. O 17 powiedziano, że wypłyniemy o 18. O 18 pani była niegrzeczna, więc zaczęłam się awanturować i zażądałam zwrotu pieniędzy. Właścicielka łodzi, po pierwsze, nie zamierzała oddać nam całej kwoty, po drugie, chciała nas bić, a po trzecie, groziła wezwaniem policji. Ostatecznie zwróciła nam przez pomyłkę pieniądze innych pasażerów, więc odliczyliśmy należną sumę i uciekłyśmy. Ponownie próbowaliśmy dostać się na towarową łódź o 20, ale kobieta w ramach odwetu

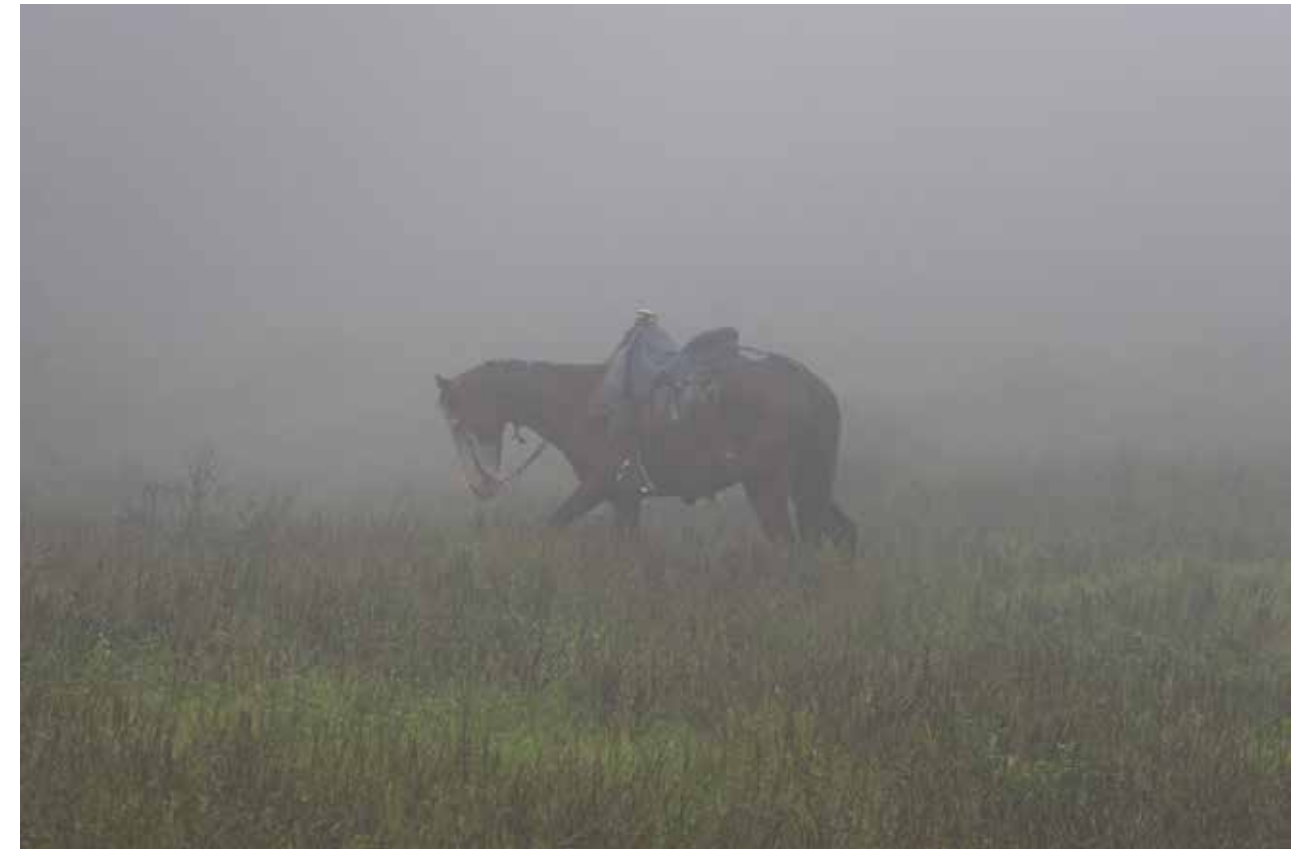


zabroniła kapitanowi nas zabrać. Nie pozostało nam nic innego, jak czekać na rejs następnego dnia.

Galapagos są obleżone głównie przez amerykańskich turystów, co rozpuściło lokalnych mieszkańców. Mając monopol na wszystko, nie bardzo wiedzą, ile liczyć za usługi, a przy tym nie są zbyt mili.

Morze było bardzo wzburzone. Po dwóch godzinach na łódce miałyśmy poodbijać organy, a większość pasażerów chorowała. Kapitan nie krył radości, gdy zderzał się z trzymetrowymi falami. Katusze podróży wynagrodziła nam piękna Isla Isabella. Wybrałam się konno na wulkan Sierra Negra i Chico. Konie brodziły po kolana w błocie i ogromnych kałużach. Z trudem utrzymywaliśmy się w siodle. U podnóża wulkanu bujna roślin-

ność, mokro i mgliście. Krater Sierra Negra, szeroki na jakieś 10 km, wyglądał jak jezioro wypełnione czarną lawą. W drodze na Chico zmienił się krajobraz – tu wielkie kaktusy porastały lawę – na początku różową, stopniowo przechodzącą w czarną. Potem we wnętrzu krateru było widać białe, różowe, pomarańczowe i czerwone skały. Na stokach tunele i szlaki po lawie. Rozlany czarny „budyń” kontrastował z błękitnym niebem, zielonkawym morzem i nielicznie ocalałymi wysepkami soczystozielonej roślinności. Już pierwszego dnia na plaży przywitały nas legwany. Są naprawdę paskudne i ich sposób poruszania się



też jest wstrętny. Wyglądają jak miniaturowe smoki. W dodatku, żeby pozbyć się morskiej soli, intensywnie plują.

Wyspę Isabella odwiedziłyśmy same, a potem dołączyłyśmy do grupy udającej się na pięciodniową wycieczkę statkiem. To najlepszy sposób na zwiedzenie jak największej liczby wysp. Bogaci ludzie wybierają morskie cruise'y, mniej bogaci katamarany, a my „statek” o wdzięcznej nazwie Amigo. Jego zaletą jest przemiła obsługa, przepyszne jedzenie i przyjazna atmosfera (tylko szesnaście osób). Z powodu niezwykle klaustrofobicznych kabin, większość z nas spała na pokładzie podziwiając pełnię księżyca i rozgwieżdżone niebo. Choroba morska dziesiątkowała pasażerów. Mnie na szczęście ominęła, ale za to byłam przeziębiona.





Na wyspach zwierzęta nie boją się ludzi i spaceruje się między leniwie wylegającymi się fokami, które czasami zaczepiają dla zabawy, gniazdami z pisklakami i zastygłymi w słońcu legwanami. Informacja dla miłośników przyrody: udało mi się zobaczyć m.in. pelikany, flamingi, niebieskonogie głuptaki, fregaty z napompowanymi czerwonymi balonami na szyjach popisujące się godowym tańcem przed partnerkami, ogromne kilkusetletnie (mające sto, dwieście, a może i trzysta lat) żółwie, haremy fok, morskie i lądowe iguany, pierwsze czarno-czerwone, drugie czarno-żółte, wszystkie równie brzydkie. Hitem było pływanie z rurką z młodymi fokami i morskimi żółwiami. Foczki z zainteresowaniem podpływały do mnie tak blisko, że myślałam, że zderzymy się nosami i w ostatniej chwili zawracają. Inne gapiły się na mnie do góry nogami i opływały dookoła. Mogłam patrzeć na nie godzinami.



Zwierzęta z Los Galapagos

Przeziębienie kurowałam w górskiej hacjendzie z widokiem na Cotopaxi, obłożona dwoma dalmatyńczykami i dwoma jamnikami, ulokowana przy kominku. Tego typu *paradiso* prowadzą zazwyczaj obcokrajowcy zaślubieni z lokalnymi pięknosciami.

Cotopaxi (5800 m) na kartkach pocztowych prezentuje się w słońcu niewinnie. Wprawdzie do zdobycia szczytu potrzebny jest sprzęt (raki, liny i czekan), ale podejście nie jest techniczne. Wspinaczkę zaczyna się o północy, by po mniej więcej pięciu godzinach zdobyć szczyt i wrócić ze zdjęciem znad brzegu krateru. Ja, jak to ja, musiałam doświadczyć skrajnie innych warunków. Ponieważ już od dwóch dni pogoda była pod-



ła, zmrożony deszcz i silny wiatr (80km/h), ludzie zawracali do schroniska po czterdziestu minutach. Zdecydowaliśmy się (dwóch Niemców, Anglik, ja i dwóch przewodników) zacząć wspinaczkę o 13 zamiast w nocy. Wiało i padało, padało i wiało. Niemiecki kolega zrezygnował. Na lodowcu mieliśmy niebywałe szczęście, bo przejaśniło się na kwadrans i mogliśmy wreszcie coś zobaczyć. A to, co ujrzeliśmy, było wspaniałe. Niestety, potem przysła śnieżycy i mgła. Na wysokości 5500 m zaczęłam mieć problemy z oddychaniem. Czułam się, jakby coś ciężkiego leżało mi na klatce piersiowej, każdy krok sprawiał ból. Angielskiego kolegę bolała głowa, a ponieważ wszyscy byliśmy bardzo zmęczeni, zdecy-



Wulkan Cotopaxi

dowaliśmy się zawrócić. Zabrakło nam 300 m, ale i tak byłam przeszczęśliwa, że mogłam tak długo tam przebywać.

Potem lokalnymi autobusami wybrałam się do wioski, która leży przy zalanym kraterze. Woda ma wyjątkowy szafirowy kolor. W wiosce śpi się w domu u *indigenas*, którzy spędzają czas głównie przy piecyku i cały czas uśmiechają się do mnie.

Do tej pory było dużo o przyrodzie, więc dla odmiany trochę o miastach. Quito to jedna wielka starówka z kawiarniami, restauracjami, zadrzewionymi placami, na których można siedzieć godzinami. Ludzie zatrzymują turystów na ulicy i dziękując za przyjazd,





życzą miłego pobytu. Natomiast Baños to rozczarowanie – miasteczko z termalnymi źródłami, położone w górach. Pełno *gringo* zwiedzających okoliczne wodospady na gokartach lub bawiących się w autobusach–dyskotekach. Uciekam stąd już jutro. Znowu na łono natury.



Postanowiłam odwiedzić miejsce, którego nie mogłam znaleźć na mapie ani poprawnie wymówić jego nazwy. Skończyło się to wieloma komplikacjami. Z turystycznego i głośnego Baños, bez zażycia kąpeli w wodach termalnych, wyruszyłam do Riobamba, by dojechać do Guargualla. Przeczytałam w internecie, że to najlepsze miejsce na rozpoczęcie wyprawy do Parku Narodowego Sangay. W Riobamba powiedziano mi, że autobus jedzie tylko do Licto, potem muszę znaleźć inny pojazd do Guargualla. Tak też zrobiłam, tylko że nie udało mi się znaleźć transportu do celu podróży. Utknęłam w małym miasteczku w Andach. Miejscowi powiedzieli mi, że na nocleg mogę liczyć tylko na plebanii. I tu mała niespodzianka – wylądowałam przy jednym stole z księdzem i misjonarzem z Kenii. W moim przypadku to dość niecodzienna sytuacja. Plebania jak na miejscowe warunki bardzo okazała, kościół niemal jak katedra – jedyne odnowione budynki w miasteczku. Hiszpanie nakradli Indianom tyle złota, że miejscowe ołtarze wręcz nim ociekają.

Wieczór upłynął nam na rozmowie o tym, jak trudno zrozumieć *indigenas*, i że wydaje się niemożliwe, by zaakceptowali obcego. Niestety, nie za wiele wniosków udało mi się wyciągnąć z obserwacji duchownych. *Indigenas* bardzo powierzchownie traktują i rozumieją religię. Dla nich jest to jedynie rytuał – im bogatszy w obrzędy, tym lepiej. W kościele, tak jak w prawosławnej cerkwi, pali się świece. Miejscowi nacierają nimi całe ciało i zbierają na szczęście stopiony воск. Czy Bóg, czy Chrystus, czy Matka Boska, czy jakiś święty – wszystko jest równie boskie. Ksiądz także traktowany jest ze szczególnym szacunkiem. Tutejsi mają specjalną metodę mumifikowania zmarłych. Są szalenie rodzinni, żyją z rodzicami i pozostają od nich emocjonalnie zależni. Pięćdziesięcioletni syn musi robić, co mu każe matka, w przeciwnym razie jest traktowany jak „czarna owca” (i tu ugryzłam się w język, zważywszy na kolor skóry moich rozmówców). Zawsze poddają się losowi, są pasywni, biorą to, co im życie przyniesie (dlatego nie chodzą do lekarzy), nigdy się nie skarżą. Z tego powodu byli tak łatwym celem dla Hiszpanów. Wyróżniają się pracowitością i siłą fizyczną. Niewielkiego wzrostu ludzie dźwigają niewyobrażalne ciężary. Widziałam kobiety, które na plecach noszą butle z gazem ważące prawie tyle co one same. Tutejsi lubią krwawe sporty, przejęli od Hiszpan *corridę*, która odbywa się prawie w każdej wiosce, a także walki kogutów. Żyją dniem codziennym, nie myślą o przyszłości (podobnie jak Aborygeni), zaś najważniejsze są fiesty – wtedy piją na umór i potem leżą na ulicach miasteczka (tutaj znajdują podobieństwo do moich rodaków). Ksiądz powiedział, że ich „software” jest tak inny, że nie jesteśmy w stanie pojąć ich sposobu myślenia. Księża też mają inny „software”, więc biorę na to poprawkę.



Po kolejnej nieudanej próbie zlokalizowania Guargualla, następnego dnia ksiądz odwiózł mnie do Riobamba. Spróbowałam jeszcze raz dotrzeć do Sangay, tym razem z wiośki Alao. Dojechałam tam pod wieczór. Niestety, okazało się, że siedziba parku (w postaci jednego baraczku) jest zamknięta i nikt nie wie, gdzie mogę spać oraz znaleźć przewodnika. Miejscowa dziewczynka zaprowadziła mnie do sklepu, gdzie zastałam Ellenę – Metystkę, miejscową nauczycielkę, sklepową i właścicielkę miniwytwórni serów w jednym. Ellena różni się od *indigenas* nie tylko wyglądem, ale i sposobem bycia, jest bardziej otwarta i przebojowa. Miałam szczęście, że na nią trafiłam, bo przyjęła mnie pod swój dach. Jej brat okazał się przewodniczącym społeczności. Ponieważ *andyscy indigenas* nie mieli naturalnych przywódców i o wszelkich sprawach decydowano w ramach rodziny, politycy postanowili ich zorganizować. Aktywizacja miała miejsce gdzieś tak w latach 70. i 80. Obecnie pozostałością są odbywające się dwa razy w miesiącu zgromadzenia społeczności, w trakcie których próbuje się rozwiązać lokalne problemy. Takim właśnie problemem tym razem byłam ja potrzebująca przewodnika. Moja sprawa została poruszona, jednakże bezskutecznie: jeden przewodnik przebywał właśnie w górach, drugi był zajęty w polu, a trzeci wolał iść na fiestę.

Czekałam bezowocnie trzy dni, aż szczęście uśmiechnęło się do mnie. Ale po kolei. Te trzy dni to bardzo ciekawe doświadczenie i jedyna okazja, żeby poobserwować życie w wiosce. Ellena jest młodą wdową i mieszka jedynie z matką i trzynastoletnią pomocnicą. Starsza kobieta i dziewczynka są *indigenas*. Nie odzywały się do mnie przez dwa dni. Myślałam na początku, że nie rozumieją po hiszpańsku (tutejszym językiem jest quechua), ale było to spowodowane ich rezerwą i nieśmiałością. Dopiero trzeciego dnia zostałam zaszczyczona zdawkową wymianą kilku słów. Do domu Elleny codziennie rano i wieczorem przychodzili mieszkańcy, by zdawać mleko na sery. Po jedynej drodze w wiosce przewijali się pastuszkowie pędzący świny i owce, jeźdźcy na koniach, kobiety z kołowrotkami z przędzą, usmarkane dzieci z psami. Moje dni upływały na pracy w sklepie (średnio jeden klient na dzień), pomocy przy robieniu serów, gotowaniu i ganiu nieposłusznym kur. Takie tempo życia całkowicie mi odpowiadało. Jedyne, co doskwierało, to brak bieżącej wody i zimno.

Z braku przewodnika Ellena zdecydowała się iść ze mną w góry, by zobaczyć Placer (naturalne źródła wód termalnych). Miałyśmy wstać o 5. Tymczasem o tej właśnie godzinie czterech podstarzałych ekwadorskich studentów w drodze na Placer zawitało do sklepu po baterie i zgodziło się zabrać mnie ze sobą. Pierwszy odcinek drogi pokonuje się jepeem. Park Sangay jest nietypowy – są w nim tylko dwa szlaki, poza tym całkowita dzicz. Jeden szlak prowadzi na szczyt góry Sangay (5200 m) – cztery dni drogi, drugi przez Lagunę Negre do Placer (dwa dni drogi i jeden odpoczynku). Wybraliśmy tę drugą opcję.



Park Narodowy Sangay

Idzie się w kaloszach i nieprzemakalnych ubraniach. Na początku szlak prowadzi przez mokradła i strumienie. Z otwartej przestrzeni z widokiem na dolinę z krętą rzeką, wodospadami i ośnieżonymi szczytami oraz jeziorem wchodzi się na stromo spadający teren z błotem po kolana, gdzie maczetą trzeba torować sobie drogę przez chaszczę i walczyć z kaloszami zasysającymi się w bagienku. Chaszczę i drzewa tworzą dach nad głową i nie widać nieba. Ponieważ pada prawie codziennie, roślinność jest bujna jak w dżungli. Nie lubię porównań, ale to miejsce przypominało mi Nową Zelandię.

Nie było łatwo utrzymać się na błocie w kaloszach, więc niejeden raz zaliczyłam zjazd ze zbocza. W końcu dotarliśmy do chatki, gdzie było palenisko i klepisko do spania. Kolacja w tych warunkach wydała mi się iście królewska, bo chłopcy złowili górskie pstrągi. Następnego dnia leniuchowaliśmy w źródłach termalnych. Ze skały wylewała się gorąca woda, wyjątkowa pod tym względem, że pozbawiona zapachu i o przezroczysto-niebieskim kolorze.

Powrót z raju był piekłem. Tak jak wędrówka do źródeł odbywała się głównie z góry, tak teraz przede wszystkim pod górę. W błocie po kolana to prawdziwa sztuka. Tym razem nie mieliśmy szczęścia i zaczęło porządnie padać – z nieba lały się hektolitry wody. Nasze nieprzemakalne ubranka przestały spełniać swoją funkcję. Ze strumieni zrobiły się rzeki i musieliśmy przechodzić w bród przez wodę po pas. Chłopcy trzymali mnie za ręce, żeby nie porwał mnie prąd. Nasze kalosze były już bez znaczenia. Wędrowaliśmy w tych warunkach siedem godzin. Zrobiło się zimno. Biegłam, żeby nie zamarznąć. Na końcu czekał suchy, ciepły jeep i gorące jedzenie grzane na silniku. Przeżyłam :-). Jak dobrze, że pamięć jest selektywna i potem pamięta się tylko to, co dobre.



Ostatnie miejsce jakie odwiedziłam w Ekwadorze to Vilcabamba. Podobno są tylko trzy takie doliny na świecie (tu, w Pakistanie i w Gruzji), gdzie klimat, zdrowe jedzenie i woda gwarantują długowieczność. Ludzie żyją tutaj ze sto lat. Sława Vilcabamby przyciąga obcokrajowców, którzy na stokach gór budują hacjendy. Nie brakuje Amerykanów, Niemców i Szwajcarów. Również sekty zasiedlają zbocza w oczekiwaniu na koniec świata w 2012 roku. Można zachwycać się lasem w chmurach wyglądającym jak dżungla – obfita roślinność, tyle że na zimno i we mgle.



Nie każdy wie, że powszechnie znane kapelusze panamskie są wykonywane ze specjalnie tkanych liści tyczkowca palmiastego i pochodzą nie z Panamy, ale z Ekwadoru. Największy producent tego nakrycia głowy to ekwadorskie miasto Cuenca. Wysokiej jakości kapelusz jest tak ciasno tkany, że nalana do niego woda nie przecieka. Można również zwinąć go w rulonik, a po wyprostowaniu nie ma zagnieceń. Te najlepsze mogą kosztować nawet tysiące dolarów.